

DOM ŻOŁNIERZA

TYGODNIK KULTURALNO - OŚWIATOWY

===== CENA 8 MAREK. =====

ADRES Redakcji i Administracji: Wilno, Dom Żołnierza, ul. Dąbrowskiego 5 (Wronia 5).

W ROCZNICĘ BITWY RACŁAWICKIEJ.

Kościuszko.

*W chłopskiej sukmanie przeszedł poprzez dzieje,
kosą Racławic znacząc swoje męstwo:
gdzie z nim krakowska świtka zajaśnieje,
tam wypromienia się jasne zwycięstwo;*

*gdzie padną słowa krakowskiej przysięgi,
tam się Wolności zjawia lutrznia złota
i cudownymi polatuje kręgi,
iasną poświatą wkrag siebie migota;*

*gdzie tylko duszy rozlegną się echa,
tam Wolność Polski z mroków się wyłania,
tam Niepodległość złota się uśmiecha,
tam Całość głosi świt zmartwychpowstania.*

*Zmarł Wódz — bohater. Lud prosty od pługa
wzniósł mu mogiłę podniebną, wysoką,
skąd bezgraniczna przestrzeniowa smuga
na całą Polskę wiedzie polskie oko.*

*Czasem gdy północ blaskami srebrnymi
rozświeci niebo od granic do granic,
wstaje Naczelnik z swej mogilnej ziemi,
patrzy od morza do kresowych stanic.*

*I myśl radosna szerzy się bez końca,
myśl, co Wolnością cieszy się upojna,
gdzie Niepodległość płonie jaśniejąca,
gdzie Całość kwitnie amarantem strojna.*

*Duma Kościuszko stojąc na kurhanie,
z radością patrzy w swą Polskę szczęśliwą;
i widzi teraz znów zmartwychpowstanie
swych dawnych pragnień—widzi Polskę żywą.*

S. W.

Król—Duch Polski.

Juljusz Słowacki — ów genialny poeta—mystyk narodu polskiego — wierzył, że co pewien czas Bóg zsyła w duszę jednego z polaków moc i hart nieprzewycięzony, polot ducha i myśli bezgranic, dzielność, męstwo i wolę niezłomną i mąż ów, na czele narodu stając, wstrząsa jego duszami, porywa go do czynu, na jasne, promieniejące chwałą i wolnością goscince, wiodąc. Takim Polakiem był bez kwestji Kościuszko.

Był to człowiek nie dbający wcale o swoje dobro ani odznaczenia; człowiek, którego najświętszym było marzeniem Polskę wznieść znowu, bo idea przewodnią te trzy słowa były:

Wolność — Całość — Niepodległość.

Słowa te wiodły go przez Golgotę cierpień i udręk moralnych, wiodły go przez Amerykę, Włochy, Francję, wiodły do Racławic, uniwersału Polanieckiego, do Dubienki, Szczekocin, Maciejowic, do niewoli moskiewskiej w Petersburgu wreszcie.

— Wolność — Całość — Niepodległość — to treść życia Kościuszki.

Andrzej, Tadeusz, Bonawentura Kościuszko, Kapitan Korpusu Kadetów, generał wojsk amerykańskich, generał — porucznik wojsk polskich, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej urodził się d. 4 lutego 1746 roku w Merecowszczyźnie (powiat Słonimski Województwo Brzeskie).

W dwunastym roku życia oddany został do Szkoły Ojców Pijarów w Lubieszowie, po ukończeniu której pojechał do Warszawy, by w 1765 wstąpić do szkoły kadetów, gdyż „miał wrodzoną pasję” do służby wojskowej.

Korpus Kadetów założony został przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego; Komendantem zaś jego był Adam Kazimierz Książę Czertoryski, generałem ziem Podolskich zwany.

W Korpusie Kadetów Kościuszko przebył cztery lata, po roku był chorążym, po dwóch zaś latach został oficerem. Złożywszy ostatni egzamin został przy korpusie w randze kapitana.

Przez cały ciąg nauk w korpusie, Kościuszko wyróżniał się niesłychaną pilnością, subordynacją i zdolnościami, które zwróciły nań uwagę zwierzchników, co było powodem, że w końcu 1769 r. czy też na początku 1770 r. wysłany został za granicę, by tam rozszerzył swe wiadomości wojskowe. Za granicą był pięć lat, przeważnie we Francji, gdzie specjalizował się jako inżynier i artylerzysta.

Tymczasem w kraju źle się działo. Ościenne mocarstwa zadecydowały o pierwszym rozbiórce Polski. Konfederacja Barska upadła, znacząc swe ślady klęskami, ruinami i zgłiszczami. Tysiące młodzieży polskiej zginęło, drugie tyle pognane zostało w Sybir.

Jako oficer z duszy i zawodu, chciał wstąpić do armii Saskiej. Projekt ten nie doszedł jednak do skutku, gdyż Kościuszko dowiedział się o czemś, co go bardziej interesowało i pociągało jego duszę szlachetną niż sadzanie prawie beczynnio w armii saskiej: oto dowiedział się, że w Ameryce Północnej osadnicy angielscy powstałi przeciw Anglii, która gnębiła ich podatkami, wyzyskiwała i odmawiała swobód obywatelskich. Chcąc więc pomóc osadnikom Anglikom w wywojowaniu wolności, wyjechał do Ameryki, by tam, pomagając im, zużytkować swe wiadomości i zapoznać się z wojną w praktyce. Stał się więc Kościuszko na ziemi amerykańskiej w sierpniu 1776 r.

Podał prośbę o przydzielenie do wojsk powstańczych, komendantem których był Jerzy Waszyngton; w październiku został przyjęty w randze pułkownika jako inżynier.

Zwierzchnicy Kościuszki z początku generał Gates, potem generał Green, nie mieli słów pochwały i podzięk dla dzielnego pułkownika. I rzeczywiście: zasługi Kościuszki, jakie oddał Ameryce były naprawdę olbrzymie: wszystkie większe fortece i porty jak Billingsport w Filadelfji Saratoga, West — Point, Halifax były umocnione przez Kościuszkę.

Wojna skończyła się w 1783 r. i Kościuszko, w randze generała — brygadiera, nagrodzony orderem Cyncynata wrócił do Polski w 1784 r.

Radością przepelniło się jego bohaterskie serce, gdy zobaczył, co się w kraju dzieje — bo oto Polska dźwigała się z upadku, krzepiła się moralnie i materialnie.

Wtedy to powstała słynna Komisja Edukacyjna, wtedy to ulepszono skarbowość i sądownictwo, pracowano nad zmianą Konstytucji. Zaciemnione dawniej prywatą i dochodami własnymi umysły, zaczęły zastanawiać się i myśleć o doli innych — doli ludu, która wcale nie do pozazdrosczenia była. Dążono do zreformowania, naprawienia owej doli.

Naczelnym tego ruchu stał sam król — Stanisław August Poniatowski. Wszystko więc szło ku lepszemu, gdy Kościuszko stanął na ziemi Polski. Tylko o sprawie armii nikt nie myślał do tej pory — teraz jednak i o tem pomyślano; postanowiono liczbę jej wznieść do 100000. Kościuszko po powrocie do kraju osiadł chwilowo na wsi w r. 1789 w czasie sejmku czteroletniego został mianowany razem z ks. Józefem Poniatowskim, Suffczyńskim, Zabiełłą i Orłowskim generałem wojsk polskich.

W tym czasie właśnie Rosja i Austria prowadziły wojnę z Turcją; Szwecja też wypowiedziała wojnę Rosji, Prusy zaś zawarły sojusz z Anglią, podkreśliły też swe nieprzychylnie zamiary względem Rosji. Polska więc znalazła się w położeniu bardzo wygodnym, gdyż mogła jednym zamachem powstać i jarmużem nie woli z siebie rzucić, tembardziej, że zaraz po otwarciu sejmku poseł pruski wyraził chęć pomocy Polsce w imieniu swego Króla. Oświadczenie owo wywarło duże wrażenie na większości sejmku.

Wtedy te właśnie Kościuszko mianowany został generałem armii polskiej.

Już w listopadzie zgłosił się do objęcia swych obowiązków.

W tym czasie naród, który już z upadku dźwigać się począł ogłosił dnia 3 maja 1791 r. wiekopomną Konstytucję. Wkrótce jednak stronnictwo rosyjskie w Polsce zawładnęło w Targowicy konfederację, celem jej zwalczania. Wojska moskiewskie wkroczyły do Polski w 1791 r. Prusy cofnęły obiecaną pomoc —

St. Stanek.

(c. d.)

Ze wspomnień ochotnika.

Woddali wieniec wzgórz, na nim nasze tyraljery. Domyślamy się ich raczej niż widzimy. Nasz major z lornetą w ręku wlał na jakiś komin i obserwuje.

Nad nami ohydnie zaświstał szrapnel. Czyżby nas macali. Kilku mych ludzi zbladło, kilku rzuciły się na twarz rumieńce. Przekonanym jest jednak, że nie ze strachu. Tamci tymczasem macają po całej kotlinie, biją raz po raz to po linii która zaczęła się posuwać to gdzieś przed, lub za nami. Mamy jednak nareszcie. „Szrapnel, granat,” zgadują po łoskocie chłopcy, — tu, tam, ol ol ol nie wybuchł, dziady kotkami strzelają.

Lecz inne za to wybuchają, to przed nami to za nami tak jak gdyby zastraszyć nas chciały. Chłopcy robią sobie z tego zabawę. Chi chi chi chi, zachyhotął nad głowami, wszyscy spojrzeli w górę tuż ol paf!! padł nie wybuchając o dziesięć kroków od nas, w błotnistą kałużę, bryzgając błotem na nasz pierwszy rząd. Widzę jak chłopcy patrzy-

nań z podziwem i szacunkiem choć bez obawy. Marsz!! Idziemy — dom jakiś rozbity granatem przed kwandransem. Stój — siadać. Głuchy przenikający łoskot za wzgórzami. ktoś przyniósł koszyk jabłek: to wieśniak z tego domu. Podchorąży rozdaje je spragnionej rzeszy, gdyż słońce, aczkolwiek jesienią zaczyna dopiekać. Powstań, — zbiórka! plutonami. Kompanja maszeruje w kolumnie plutonowej, pluton od plutonu w odstępach 100 kroków.

Wchodzimy na wzgórze na którym dopiero co toczyła się walka. Dobiegają nas jęki rannych: sanitariusz! sanitariusz! ktoś szepcze, zabierz zabierz. Spojrzałem w bok, tuż obok mnie. Jak siał z karabinem gotując się do opuszczenia go, przychylił się tylko lekko w tył i zagnała małeńka struga krwi pociekła.

Patrę — krzyż harcerek, tyż bezpośrednio pod nim małeńka dziurka w mundurze ledwo dostrzegalna; młodziutka twarzyczka ściągnięta w jakiś dziwny wyraz spokoju i bólu, a błękitne oczy martwo spoglądały na śmiejące się słońce. Ot drugi — moskall a tu kto jęczy? co? bez nogi. Tta ta ta ta ta, zatrzeszczała gdzieś jakaś maszynka, fju fju fju, zaczęły swistać kule tuż nad głowami. Jeszcze chwilę,

Polska więc została sama jedna... mając niezgodę w sobie—o wynieszcześnie Targowicę; stanąć musiała do walki z wielokroć liczniejszym, silniejszym i bardziej zorganizowanym nieprzyjacielem. Niebezpieczeństwo było tem większe, że nieprzyjaciół ów był zorganizowany, karny i posłuszny podczas gdy Polska posiadała armję opartą o bardzo nieliczną ilość wojska regularnego, stanowiącego jakby kadre, reszta zaś byli to ochotnicy, którzy, nie przywykli jeszcze do służby, rygoru wojska, a trzymając się zasady „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”—często chcieli i pokazywać swą inicjatywę, co bezwzględnie dodatnio nie wpływało. Nad wszystkim jednak górowała miłość ojczyzny, która potrafiła opanować niesforne polskie dusze.

(c. d. n.)

Gloria victis.

Gdy na piasek areny rzymskiego cyrku padał gladiator, zaplątany w sieć przeciwnika, lub zwalony jego śmierć niosącym ciosem, gdy oczy zwyciężonego, zachodzące bielmem przedśmiertelnem błagalnie zwracały się ku okrytej purpurą łożu cezara z prośbą o litość, spotykały się one tam z pogardliwym wygięciem ust i znakiem, króremu posłuszny zwycięzca przebił pierś zwyciężonego trójzębem, gdyż dla zwyciężonych Rzym nie miał litości, a w imię zasady vae victis (biada zwyciężonym) postępując, karał ich śmiercią.

Lecz gdy przyszła godzina porachunku, gdy nadszedł Atylla, bicz Boży, potężna Roma zrozumiała dopiero wtedy, co znaczy owo vae victis, jak ono jest straszne, gdy skutki jego musiała znosić na sobie, gdy uświadomiła sobie, że powalona przez wroga już się nigdy niepodniesie, lecz nawet nie dźwignie.

I nie próbował Rzym owego podźwignięcia nawet, tak bowiem wierzył w świętość téj zasady z cza-

sów świetności, że zrozumiećby nie mógł, jak można przeciw niej występować.

Zaślepienie jednak w stosunku do wspomnianej zasady, w znaczeniu niemożliwości jej zwyciężenia, było ze strony Rzymu dużym błędem, gdyż niezawsze zwyciężający mieczem jest faktycznym zwycięzcą. A zaślepienie to było tembardziej karygodne, że ten sam Rzym miał przykład na Helladzie (Grecji) którą zawojował, a której sztukę i obyczaje nawet przyjął bez zastrzeżeń prawie, zupełnie się jej poddając, przez co też zwyciężąc ją, Helladę, uczynił.

Nietylko jednak na Rzymie przykład mamy, najjaskrawszym bowiem przykładem jest nasza własna historia porobiorowa, usiana klęskami, złana krwią starczą, młodzieńczą i dziecięcą, a jednak stanowiąca naszą chwałę.

Gdyby nie klęski z pod Maciejowic, Olszynki, gdyby nie tułaczka po lasach Litwy, nie mielibyśmy tego co mamy teraz: nie mielibyśmy Komendanta i jego bohaterskich wysiłków w celu odrodzenia kraju, nie mielibyśmy wolnej Polski.

„Gloria victis” — chwała zwyciężonym chwała tym, co zdruzgotani nie ustają w pracy nad swem odrodzeniem, nad szczęściem kraju, nad własną duszą.

Chwała tym, co pokonani, giną z piosenką „Jeszcze Polska nie zginęła” na ustach.

Chwała wszystkim obywatelom Oszmiany, wymordowanym w kościele, chwała ludności i księżom Krożańskim, chwała mniszkom, z Makryną Mieczysławską na czele, chwała tym wszystkim kopcom mogilnym, co samotnie po lasach dumają, chwała tym wszystkim zwyciężonym, co zwyciężonymi będąc, zwycięzcami zostać potrafili.

Lecz nie zawsze gloria victis. Gdy zwyciężeni się zasymilują ze zwycięzcami, gdy przyjmą ich wiarę i łaski, gdy im się do nóg kłaniać będą, wtedy vae victis, gdyż duchy ich znikczemiały, gdyż serca ich przez robactwo zdrady nadgryzione, a mózgi spaczony karjerowiczowstwem.

a rostrzelają się i nieobejdzie się bez strzałów. Padnij! zdało mi się że zawachali się, że wstyd im było przed pierwszymi padać kulkami.

Padnij! krzyknąłem po raz drugi. Klapneli mentalnie. A maszynki trajkotały zawzięcie; spójrzałem w bok na inne plutony, leżały tak jak i mój. Przedemną szosa, po obu jej stronach głęboki rów, doskonała osłona. „Pierwsza sekcja, kierunek szosa marsz.” Poderwał ich sekcyjny, i poszli biegiem, przypadli na chwilę i już w rowie. Trzecia marsz! — poszli.

Spójrzałem w prawo na drugi pluton, którym dowodził sierżant Gnesiak, zrobił tak samo. Znać było że d-ca nie pierwszy raz był w ogniu, nie gorączkował się i nie rzucał całego plutonu ławą.

Przebóg a to co? trzeci pluton najdalej od szosy zaskoczony gwał w rozwiniętych ku szosie. Przez myśl mi przeszło—warjat! będą strzały. Obeszło się jednak jakoś bez strzałów gdyż moskalom zacięły się maszynki, najpierw jedna potem druga.

Porucznik nie pozwala wychylać się z rowu, ja jednak muszę wiedzieć co jest przed nami. Podał mi lornetę. Przed nami na wzgórzu fort, o jakie 2

km. w linii powietrznej. Pierwszy czy trzeci? Między nami a fortem głęboki parów za parowem wieś o którą toczy się bój. Leżeć! leżeć nie wychylać się. Jakiżby ten zawsze miał być w linii pyta jeden z moich ludzi. Godziny płyną zwolna; za nami grzmi ciężko dysząc jedna bateria naszej 17-stki bum! bum! bum! słychać za nami buch! buch! buch! odpowiada po dobrej chwili z przodu — to odłós wybuchających w forcie pocisków.

Oni także nie miłują. biją raz po razie po naszej szosie, dobierają się do naszej baterji, tak aż do zmroku. Przynoszą nam śniadanie, obiad, kolację. Pocziwy nasz szef trochę nie wczas zajechał z kuchnią jeszcze niezbyt ciemno. A to co? nożyce dla cięcia drutu, więc aż tak. Widzę jak moim chłopakom oczy się rozświeciły. Więc może nad ranem pojdziemy tam, tam gdzie tamci, pokazują—przytem w kierunku na fortu gdzie widać było naszą linię. Kto przyszedł? a czy to ksiądz. Co? i druhna? a to po co! masz tobie jest i drugie—a chcą tego harcerze, chcecie pochować, i innych też — no naturalnie. Słyszę po chwili jak ksiądz mówi do porucznika: Biedny dzieciak w kieszeniu miał list do rodziców w którym

Lecz gdy zwyciężeni potrafią się tym wszystkim zakusom oprzeć, gdy potrafią nie zatracić poczucia godności narodowej i miłości ojczyzny, wtedy im chwała wieczna, nieśmiertelna.

Niewola moskiewska, nikt inny, wykrzesala w nas tę iskrę, która potrafiła stopić kajdany i wskrzesić państwo polskie, gdyż jeśliby nie knut, wiszący nam ciągle nad głową, jeśliby nie rozbiory, to kto wie, czy Polacy nie zatraciliby ducha, tonąc w łaskach carycy Katarzyny, czy nie zgnuśnelibyśmy, używając łask carskich.

St. W.

Wiosna.

Widzisz ją, widzisz? Patrz, tam na lewo, w tych krzakach, widzisz?

To Ona — ona idzie!

Puchy srebrne ją stulają, perły dwie, czyste, jak lzy dziecięce, po ramionach jej się toczą, płyną ciche, bezszelestne — perły jak lzy. Wiatr igra z fałdami jej zielono-modrej szaty — włosy jej pieści, całuje — puchy srebrne nad czołem jej zwiewa — rozwiewa...

Mówisz, iż to tylko na wierzbach paki wiosenne się białą.

Nie, nie, to ona tam jest. Ja ją widzę, przeczuwam — Kto taki? pytasz — Ona — Wiosna.

Idzie ku nam przez te pola wczesną runią zielone. Kędy stąpi, wnet pierwiosnki rozkwitają, kędy dłonią skinie, wnet śniegi topnieją. Z ócz jej zorze na ziemię płyną ożywcze, rodzące.

Czarodziejkaż bo ona wszechmocna.

Jak ja ją kocham, tę królową Wiosnę!

O niej, wciąż o niej, słonecznej, kwietnej, i ptaszczej był mój zimowy, długi, ciężki sen.

Czujesz? — skiby czarne tak pachną.

Słyszysz? — skowronczany śpiew, chór wiosny dzwiczny, radosny.

Hej, ty wiosno, wiosenko! — moce się jakieś nad ziemią niosą — siły jakieś życiodajne płyną — coś spiewa — jakiś czar — tęsknota — i miłowania moc ogromna — wionie.

Hej, ty wiosno! ty wiosenko polska...

F.—k.

Książę Józef.

Tak, ks. Józef tylko, bez nazwiska! To nam niepotrzebne, gdyż innego takiego księcia nie mamy!..

Jak mówimy wieszcy Adam, podniebny lot Juljuszowy, głębia duchowa Zygmunta — tak też powiadamy — ks. Józef — to wystarcza. O, w zupełności! Nikt z nas nie spyta: który?

Jednegośmy takiego mieli, takiego bardzo naszego, z krwi i kości naszego, z wad i zalet naszego.

A przecie inaczej być mogło, nawet inaczej być było winno.

Urodzony z Niemki pochodzenia czeskiego dnia 7 maja r. 1763 w Wiedniu, — chowa się w sferze kosmopolitycznej arystokracji wśród dworaków cesarza Józefa II. Ojciec, w blask dworu wiedeńskiego zapatrzony, — nie przypomina synowi kim jest i być winien.

Nie wiedzieć w jaki sposób zdołał nauczyć się mówić i pisać po polsku!..

Tylko chęć do żołnierki, ten zapal na widok wspaniałych szyków bojowych, ten blask w oczach i dreszcz zapalu na odgłos surm wojennych — zdradzały w nim od dziecka potomka tych, którym nad kolebką, zamiast pieśni ukojnej — kule grały hejnał ich przyszłego żywota, dla których ławą szkolną — siodło, a szkołą samą — wojna była.

Żołnierzem-rycerzem był ks. Józef — aż do ostatniej chwili swego żywota.

A dla rycerza skarbem najdroższym — honor, dla zachowania zaś blasku jego, nieodzownym warunkiem sumienia — czystość.

pisze im że jest zdrow, że po skończonem zadaniu wróci do nich, do babci, którą go tak wyczekuje.

Boże — mówi wzruszoną duszą Ziutek, on miał lat 16-cie, nic dziwnego tak jak i całą naszą kompanją — dzieciaki. One poszły i kuchnia odjechała, chłopcy zjadają przyniesione przez drużny jabłuszka. A to kto idzie, łącznik? no odezw, że się gamoni, Ach to adjutant — szepczą coś z porucznikiem. Chwyta słow. Artylerja, nadranem, o czwatrej, rakieta, tak czerwona rakieta.

Na prawem skrzydle strzelanina od chwili — wzmacnia się. Cicho ktoś pędzi zdyszany, łącznik? tak! „atakują; spieszę zmeldunkiem,“ stój, krzyczy adjutant. Ostatnie drgawki myślę sobie. Tymczasem marsz. Poszliśmy dalej, linja, tuż kule swiszczą nad głową.

Jedna zadzwoniła z lekka o jakiś chatki. Obok w ziemiance telefon. Co chwilę dobiega mnie głos. Halo, halo ciotko? tak? tu ojciec! kto mówi Bejbako? dajcie mi matkę. Łączę. Co za familjarna centrala. Atak odparty — cicho. Noc, beznadziejnie długa dla oczekujących czegoś noc. Nawet deszcz, który zaczął zacinać ustał już. Zaczęło świtać wnet się mgły

podniosą a tu cicho, wszędzie cicho. Przygotować nożyce, łopatki, marsz! — Cisza, mijamy kroków sto, dwieście, trzysta, czterysta, druty — a za nimi cicho. Czyżby? niepewność jakoś się nas imą. Nagle jednak jeden z malców zaczyna się brać z hałasem druty. Niema krzyczy — niema nikogo.

Wywiałły zewsząd; w okopach nasza kompanja. Podniosło się już słońce zalewając złotemi blaski opuszczony fort i zwycięskie szeregi. Marsz nad Niemen, forsować przeprawę. Marsz młodą kompanją, marsz aby dziś jeszcze mogła wziąć rzeczy-wisty chrzest bojowy.

Marsz marsz! młoda kompanjo, zostawisz rannych i zabitych, lecz pójdziesz naprzód, niezatrzmana przez druty, przez Niemen, przez wrogów tłumy. Marsz naprzód młoda kompanjo, pójdziesz i nie zatrzymasz się dotąd, dopóki nie osiągniesz celu, dopóki wróg w swych szponach będzie trzymał choć jedną piędź wolnej ziemi polskiej.

KONIEC.



Tym warunkom prawdziwej rycerskości odpowiada ks. Józef pomimo wszelkie pokusy i trudności życiowe.

Pomimo niezliczone wady i błędy, w których jest wiernym odbiciem ducha czasu i charakteru narodowego, — w chwili decydującej idzie zawsze za głosem honoru i sumienia, chociażby te wymagały odeń poświęceń przekraczających wprost siły jego.

Dowód swej mocy duchowej składa w r. 1792, gdy on, żołnierz, decyduje się być nieposłusznym naczelnemu wodzowi sił zbrojnych, królowi Stanisławowi-Augustowi, stryjowi swemu, który żąda od niego przystąpienia do Targowicy. Pomimo całego wpływu, jakiemu ulegał stale ks. Józef wobec króla, ojcem go zowiąc, w chwili stanowczej, poczucie honoru nie pozwala mu iść drogą niesławy. Zdobywa się na własne bardzo nawet ostre o królu słowo w liście do ks. Izabelli Czartoryjskiej. „Na wszystko byłem przygotowany, lecz nie na podobną nikczemność. Jestem zgębiony, oszołomiony. Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą!”

Na czyn wielki, na objęcie przewodztwa nad narodem, do którego powoływała go chwila dziejowa, — zdobyć się nie był w stanie: żołnierzem bez skazy i zarzutu był, nie wodzem.

Zgębiony i wyczerpany na duchu klęskami narodowymi, lat jedenaście prawie trwa w gnuśnej beczynności... Lecz załopotwały skrzydła orłów napoleońskich, zbliżając się powoli nad brzegi Niemnowe — i budzi się na ten ich lot bratni im duch ks. Józefa, ginie w nim dworak — w całej pełni blasku rycerz ożywał.. i zwyciężając uprzedzenia lojalnego czciciela władzy Burbonów królów Francji na rzecz jej cesarskiego uzurpatora w osobie Napoleona.

Bohaterstwo Napoleona, budząc bohaterski zapal i cześć wojenną w duszy ks. Józefa — czyni go bohaterem narodowym, legendarnym wprost.

Napoleon i ks. Józef — to nasze marzenia i nadzieje, pragnienia najgorętsze z początku XIX.

Legjony... typ ułana polskiego — heroizm w dziejach równego sobie nie znajdujący — wszystko to

skupia się, jak w soczewce, w osobie ks. Józefa, który bohaterem — nie politykiem, pozostaje do ostatniej chwili: do Lipska.

Pomimo głosy bliższe i dalsze: rodziny i kraju, przemawiające doń przez usta jego towarzyszy broni w imię dobra ojczyzny — nie odstępuje tego, którego gwiazda blask swój tracić zaczyna — nie odstępuje Napoleona, wodza swego, w nieszczęściu.

Honor i sumienie nie pozwalają mu na to!

Gdy Napoleon szedł na nieprzyjaciela — legjony polskie szły, ba, leciały, w awangardzie, — gdy wielka armja cofała się moskiewskim szlakiem — legjony polskie z głuchym pomrukiem rannego zwierza opędzały się chmurze kozactwa, — by resztki „wielkiej armji” mogły postępować we względny porządku.

Tak było i pod Lipskiem dnia 18-do października 1813 r.

Napoleon wydał rozkaz do odwrotu, polecając ks. Józefowi obronę mostów na Elstrze i Pleissie, które tu odegrały rolę drugiej Berezyny...

Przez całą noc ks. Józef nie zsiada z konia, ranny czterokrotnie... Już wojska wielkiej armji przeszły mosty i groble. Obowiązek włożony przez cesarza na najmłodszego marszałka Francji, ks. Józefa, — spełniony... Honorowi i sumieniu rycerza stało się zadość.

Wtem o godz. 11 zrana most na Pleissie wyłeciał w powietrze, przedwcześnie wysadzony przez saperów francuskich.

Jedyna deska na drogę dalszych poświęceń i tułaczki dalszej wiodąca! Wyrwali ją ci, dla których właśnie jej bronił.

Co dalej? Zginąć czy poddać się nieprzyjacielowi!.. Rozlegają się głosy perswazji, iż nic nie pozostaje, jak oddanie się w ręce zwycięzcy.

To głos rozsądku, głos polityczny...

Bierze górę głos inny: przemówił swem piekącym słowem odniesione rany...

Księżę gorączkuje, rzuca się do Pleissy i za ledwie z trudem udaje się go uratować!

Poddać się... oręż złożyć... na łaskę i niełaskę... a Ona... Ta, za którą... wszystko... wszystko...

Por. TADEUSZ KAWALEC.

Ciąg dalszy

Z WALK ORŁAT.

Lecz nie pozwolono mu długo namyślać się, jakby na komendę rzucają się dwaj odważni chłopcy na upatrzonych żołnierzach, jeden skok i karabiny w rękach naszych.

Prowadzą jeńców.

W tymże samym momencie nadchodzi druga ruchoma wedeta litewska.

Jeńcy nie orientując się w sytuacji przypuszczają widocznie, że to dwóch śmiałków tylko mają przed sobą, i wyrwywają się wzywając głośno pomocy.

Rzucają się na chłopców szamocąc się z nimi. Jeden uchwycił Cydzika za szyję, dusząc go, drugi zaś począł gryźć rękę Bałejce. Zdołali się po krótkiej walce oswobodzić, lecz jeńcy poczęli uciekać.

Cydzik chce strzelać, karabin się zacina.

Bałejko nie wiele myśląc puszcza się w pościg za swoją ofiarą, dogania ją i przytrzymuje.

Tymczasem wypada reszta patrolu z ukrycia i oddaje kilka salw w stronę nadchodzącej drugiej wedety litewskiej.

Strzały musiały zaalarmować placówkę, gdyż karabiny maszynowe zaczynają grać.

Patrol uchodzi z jeńcem.

Wzięty do niewoli żyd, pochodzi z Kowna i służy w 6 p. p. Dowiaduje się wielu szczegółów o ugrupowaniu Litwinów, rozmieszczeniu rezerw, artylerji i t. d.

Po przesłuchaniu odsyłam jeńca do d-twa baonu.

Minejkę, Cydzika i Bałejkę podaję do odznaczenia krzyżem walecznych.

Na prawem skrzydle, na odcinku Wileńskiego pułku strzelców koło Jewje, przygotowuje się tymczasem akcja.

My mamy w związku z nią demonstrować atak. Od godziny 9-ej, rozpoczynają dwie nasze baterje silny ogień.

III baon stojący w rezerwie w Sejmanach wschodnich i druga kompanja demonstrują atak. Litwini opuszczają okopy za Podworańcami wypłoszeni ogniem artylerji, lecz potem znów do nich powracają.

Demonstracja spełniła swoje zadanie — atak wileńskiego p. strzelców doprowadza do zajęcia Giedrojc.

Znów mija kilka dni.

Wtem drogę przecina oddział nieprzyjacielskiej piechoty...

Więc już... oddać broń... niewola...

A Ona... a Jej orzeł?..

Poddać się?... Lepiej wolnym być...

„Kto przeżyje wolnym będzie,

A kto poległ—wolnym już...”

Już... jeden skok spiętego ostrogami ramaka w nurty wezbranej Elstery. Jeszcze jeden postrzał, ...w lewą pierś-pięta już w tym dniu rana i... „wolnym już!”

Honor i sumienie tak mu nakazało...

Wiadomości o Polsce.

Granice Polski a Niemcy.

Mówić teraz o granicach Polski jest bardzo trudno, ponieważ nie są one zupełnie prawie ustalone. Szczególniej zaś tyczy się do granicy wschodniej, która to granica teraz jest zupełnie fantastyczną. Na zachodzie rzecz ta przedstawia się trochę lepiej, gdyż wiemy, chociaż mniej więcej jak sprawa ta wyglądać może. Gdy więc teraz mówimy o granicach, bierzemy pod uwagę granice historyczne z czasów przedrozbiorowych.

Nie mam najmniejszej chęci zagłębiać się w politykę, przeciwnie, chodzi mi tylko o zastanowienie się, w jaki sposób granice Polski z zachodu, bo aż od Odry lub Elby nawet, przesunęły się na wschód i dlaczego się one zmieniały.

Wiemy przecie, że gałąź Słowian, zwana Polanami, osiedliła się między Wisłą i Odrą, potem nawet za Odrę posuwała się często, do Elby prawie dochodząc.

Czemu więc Elba, a przynajmniej Odra nie jest naszą?

Odpowiedzi na to pytanie jest trzy:

Pierwsza — to odsuwanie się narodów zachodu od morza ku wschodowi.

Druga — to niedogodności granic zachodnich Polski z punktu widzenia przyrodniczego; mała ich obronność.

Trzecia—sąsiedztwo z Niemcami.

Pierwsza przyczyna, to jest odsuwanie się narodów zachodu od morza, jest zjawiskiem zupełnie wytłomaczonym materialnie — przyrost ludności. Ze zwiększeniem się ludności zaczęło brakować miejsca dla tych nowych ludzi. Dowodem tego jest fakt, że np. za czasów Cezara, Gallja, która była tam, gdzie dziś jest Francja, dzieliła się na dwie części, po obu stronach Alp położone. Jedną więc część Gallji leżała tam, gdzie teraz jest dolina rzeki Po, czyli Lombardia. Z powodu przyrostu ludności we Włoszech, Gallowie musieli przesunąć się na drugą stronę Alp, wypychając przez to samo część ludności po za alpejskiej, bardziej na wschód. Ludność więc ta pchnęła ze swej strony plemiona germańskie, te zaś, posuwając się znowu ku wschodowi, mimo woli wówczas odsunęły Polan trochę na wschód.

Druga przyczyna tłumaczy się mało obronną granicą zachodnią, którą stanowią rzeki.

Wiemy z historii, że nasi sąsiedzi z zachodu, Krzyżacy, później Niemcy, napadali nas bezustannie, w czym dopomagały im znakomicie właśnie rzeki, dając im doskonałe drogi wodne. Tak więc Niemcy mogli dojść do Wisły (lub dopłynąć jej lewymi dopływami), przeprawić się przez nią i jechać bez przeszkody prawymi dopływami w głąb kraju. Ponieważ zaś Krzyżacy, potem Niemcy, byli zawsze znakomicie uzbrojeni, zakuci w stal od stóp do głowy, spotykali się zaś z ludnością odzianą w skóry lub płótno, jako broń mającą lance lub oszczepy, zamiast broni palnej, którą się potem posługiwał nieprzyjaciół, posiadając łuki, nic więc dziwnego, że zostali bardzo często zwyciężani, odpychani od swej zachodniej granicy ku wschodowi coraz dalej i dalej.

I trzecia przyczyna, łącząca się ściśle z drugą: Niemcy, widząc, że zdobycie każdej piędy ziemi na wschodzie daje im ogromne korzyści, politykę swą skierowali właśnie ku owemu złotodajnemu źródłu,

Litwini nie próbują nawet zbliżyć się do naszych okopów nie wychylając się ze swoich.

Chłopcy proszą się, by im pozwolić na wywiad — powodzenie ośmiela.

Mam wiadomości, że na odcinku litewskim nastąpiło nowe przegrupowanie, to też postanawiam ruszyć jeszcze raz w znane nam już tak dobrze okolice.

Dowiaduję się, że Litwini zaczynają prawie codziennie przychodzić ze swoich okopów do Lebedzia, a ośmiela ich coraz bardziej okoliczność, że nasze patroli już blisko tydzień tam nie podchodziły.

Dotychczas odbywały się nasze wyprawy nocą, teraz postanawiam na odmianną poprobać szczęścia dniem.

26 listopada, około czwartej godziny rano, wysuwamy się z naszych ziemianek. Jedenastu harcerzy z drugiego plutonu i sierżant Minejko rusza na wyprawę.

Już prawie świtać zaczyna, gdy dochodzimy do Lebedzia.

W Staskuniskach zapewniają nas, że Litwinów spotkamy. Zwykle przychodzą w rannych godzinach do wsi na śniadanie, więc możliwych zaskoczyć.

Patrol pozostaje przed wsią, dwóch zaś ludzi skrada się ostrożnie, by wybać miejscową ludność.

Wszystko układa się pomyślnie,

Litwinów jeszcze niema, ale jak mówią chłopci niezadługo nadejdą.

Pian mam taki: — gdy Litwini wejdą do wsi, pozwolimy im rozgościć się licząc na to, że nie będą zachowywali zbyt wielkich ostrożności. Wówczas wypadniemy z ukrycia otoczmy ich i weźmiemy do niewoli.

Dwie wedety czuwają na obu końcach wsi.

Ja z resztą ludzi ukrywam się w stodole na pół przymkniętej.

Mija jedna godzina, druga i nikt nie nadchodzi.

Postanawiam przeczekać do południa i dopiero wówczas wrócić z ludźmi do okopów.

Słyszymy nagle zupełnie nieoczekiwane strzały karabinowe we wsi.

Nie namyślając się wiele wypadamy ze stodół dzieląc się na dwie grupy, ja z większą biegnę drogą, sierżant Minejko z resztą od strony Lebedzia.

Widzimy przebiegających między chatami Litwinów.

Obustronna wymiana strzałów.

krystalizując ją w powszechnie znany „Drang nach Osten”—pochód na wschód. Nie należy jednak wyobrażać sobie, by ów Drang był tylko przy pomocy ognia i miecza, pożarów i krwi. Bardzo często wyrażał się on przeciwnie: robotnicy niemieccy przybywali do Polski w celach zupełnie pokojowych, dla zrobienia majątku, co im się bardzo łatwo i prędko udawało, ponieważ byli lepszymi rzemieślnikami niż Polacy. Ze zdobyciem pieniędzy zdobywali i znaczenie. Ponieważ zaś, jak powiedziałem, przychodziło im to łatwo, zjawiało się więc u nas coraz to więcej nowych przybyszów.

Gdybyśmy sobie wyobrazili Polskę na mapie jako kolor amarantowy, Niemców zaś jako niebieski, zobaczylibyśmy, że cały amarantowy płat ziemi polskiej jest w wielu miejscach poszarpany przez niebieskie punkciki, przedstawiające Niemców, którzy starali się wszędzie i wszelkimi sposobami wybrzeć placówki kulturalne z rąk polskich.

W Poznańskim zaś Niemcy ów Drang nach Osten krystalizowali nieco bardziej gwałtownie... wiemy wszyscy o wywłaszczeniu.

Widzimy więc, że jednym z celów politycznych Niemców było posuwanie się na wschód drogą walki orężnej lub kulturalno-ekonomicznej — przy pomocy kolonizacji; tak czy inaczej posuwanie się to było planowe, obmyślane, powolne, lecz jak wiemy, ciągle.

A czy my nie dążyliśmy do rozszerzenia swych granic na wschód, do takiegoż „Drang nach Osten”, iakby to Niemcy nazwali?

Owszem, dążyliśmy lubo w inny zupełnie sposób: dążyliśmy przez unję, przez dobrowolne połączenie się narodów na określonych prawach; w ten sposób połączyliśmy się z Litwinami przez chrzest Litwy za czasów Jagiełły i Jadwigi, potem zaś wzmocniliśmy tę unję w Lublinie, o czym teraz Litwini zapominają, niestety.

Tak więc przesuwanie się naszych granic na wschodzie odbyło się z innych pobudek i w zupełnie

inny sposób niż u Niemców. My przesuwaliśmy się zmuszeni do tego przemocą, albo licząc się z korzyściami nie tylko własnymi. Niemcy zaś wytworzyli sobie pewien systemat polityczny, przewodnią myślą którego był dobrobyt ich, widziany w posuwaniu się na wschód za wszelką cenę, nie zwracając uwagi na nic.

Widzimy, że na korzyść im to nie wyszło.

Swojak.

Z teatru.

Dyrekcja Rychłowskiego.

KSIAŻE JÓZEF PONIATOWSKI.

Sztuka w 3 aktach A. Hertza.

I znowu dzięki teatrowi polskiemu możemy zastanowić się nad jednym z największych bohaterów narodowych Polski; bohater ten stał się ideałem Polska — rycerza. Jest nim książę Józef.

O charakterze jego czytaliśmy przed chwilą w poprzednim obrazku, teraz przyjrzymy się sztuce pod tymże tytułem, napisanej przez A. Hertza. Jest to jedna z t. zw. „sztuk narodowych”, celem której jest spopularyzowanie danej postaci. Sztuka ta zasadniczo jest nudna, szczególnie pierwszy akt. Nie daje ona absolutnie żadnego pojęcia, a przynajmniej bardzo niewielkie, blade o tej postaci, wizerunek której nosimy głęboko w duszy.

Książę Józef toć przecie ów rycerz „by skazy i trwogi” o którym to rycerzu mówią dawne pieśni i podania. Sztuka ta zaś podkreśla to w bardzo małym stopniu, dając tylko fragmenta, narzucone bardzo szkicowo, z jego duszy i uczuć.

Sztuka ta w Lutni wystawiona była bardzo starannie, z dużą troskliwością o jej wygląd zewnętrzny. Pan Godłowski maskę miał doskonałą, w swym wspaniałym ułańskim mundurze był naprawdę tym „malowanym dzieckiem” za którym „niejedna pa-

Bagnety nasadzone na karabiny.

Dopędzamy jednego żołnierza, który właśnie zamierzał się, by w nas ugodzić granatem ręcznym i bierzemy go do niewoli.

Reszta Litwinów biegnie z góry w stronę własnych okopów, chcąc uniknąć niewoli.

Widząc uciekających jak na dłoni, strzelamy jakiś czas, kładąc jednego trupem i dwóch raniąc poczem wycofujemy się wraz z jeńcem.

Już za wsią Lebedzie, spotykamy się z ogniem karabinowym i karabinów maszynowych, lecz znajdujemy się szczęśliwie poza obrębem skuteczności strzałów litewskich.

Jak się okazało, był to patrol bojowo-wywiadowczy, który miał widocznie dalej się posunąć, gdyż wszyscy szli w szyku bojowym.

Ponieważ wedeta wysunęła się nieostrożnie na drogę w chwili gdy Litwini wchodzili do wsi, zauważono ją i te właśnie strzały oddane w nią zaalarmowały nas.

Żałujemy wszyscy, że nam się nie udało przychwycić sierżanta litewskiego, który prowadził patrol, ale obiecujemy sobie powetować to na drugi raz.

Już zaraz następnego dnia nadarza się potem okazja.

Ruszam w inną stronę, gdzie dotąd prawie że patrole nasze nie dochodziły.

Podobnie jak do Lebedzia idziemy rankiem.

Mijamy Stanisłówkę, Kotysz, niespotykając nigdzie Litwinów.

W Kopciskach postanawiam zrobić zasadzkę.

Położenie osady nadaje się do tego w zupełności. Wioska leży w kotlinie i składa się z kilku załedwie chat, z których jedna stoi na uboczu, reszta zaś po drugiej stronie rzeczki, płynącej wąwozem. Ukrywamy się w stodole. Kilku chłopców umieszczam po drugiej stronie rzeczki, by zamykali Litwinom odwrót. Mieliśmy zamiar przepuścić ich przez groblę i wówczas dopiero wypaść z ukrycia. Do godziny 12-ej czekamy cierpliwie, lecz Litwini nie nadchodzą zupełnie, wobec czego wracamy tą samą drogą do kompanji.

Z tą ostatnią wyprawą kończy się zarazem nasza działalność bojowa na froncie. Między delegacją polską, a przedstawicielami rządu kowieńskiego został podpisany rozejm i zgodnie z nim zabroniło dtwo pułku wysyłania patroli na przedpole.

(d. c. n.)

nienka poleci". Doskonała jego dykcja dodawała dużo tej roli.

Pani Grabowska jako Julja była urocza. Pan Rychłowski jako król Stanisław August Poniatowski miał może zbyt mało tej subtelności i gracji, jaką sobie wyobrażamy, gdy mówimy „król Staś”. Po za tem był dobry, zupełnie poprawny, szczególnie zaś w akcie ostatnim w czasie rozmowy z siostrami, później zaś z księciem Józefem.

Reszta zespołu, z panem Wołką jako Jackiem Pohubajłą, krotochwilnym szlachcicem kresowym, była zupełnie dobra.

Wogóle „Książę Józef Poniatowski” to sztuka porywająca prędzej oczy barwnością swych strojów niż duszę i wyobraźnię nastrojami.

W każdym razie zyskała ona dużo dzięki owemu starannemu wyreżyserowaniu jej w Lutni.

KONSTYTUCJA

sztuka w 4 aktach B. Górczyńskiego.

Rok 1905...

Dość wymienić tę datę, by przed oczami każdego, nawet takiego, który w czasie owym liczył lat 5 lub 6, stanęły przed oczami wspomnienia, za mgłone nieraz przez czas, lecz upamiętnione przez dziecięce często mózgi.

Obrazy pełne tego, co się nazywa oczekiwaniem, pragnieniem. Obrazy zebrały na placach publicznych; ktoś stoi na podwyższeniu i coś mówi. Słuchają go tłumy... oklaski... okrzyki... wtem... tętent... słum się rozbiega, a na miejsce zebrania wpada rozwścieczona dzicz kozacka w pełnym galopie, tratując, nahażkami, często szablami siekąc bezbronny pieszcujący tłum...

Obrazy te było to przeludjum do czegoś, czego pragnęła dusza, do czego rwało się serce i myśl, do czego przez tyle lat wzdychała uciemniona dusza polska: Konstytucja!

Rok 1905 przyniosł ze sobą jakiś wiew, jakąś baśń, jakiś głos, szepczący to słowo, które stało się jakby zwiastunem wschodzącej jutrzeźki wolności, jakby promykiem słońca, co wdarł się w więzienia mury, mówiąc o życiu innem, jaśniejszem, bardziej świetlanem, o życiu pełniejszym, lepszem.

Był jak podmuch radosny, co wybawienie zwiastuje górnikom, zasypanym w kopalni.

Czuł go każdy, każdy się doń rwał, każdy go pragnął. Byli jednak i tacy, którzy bali się o tem mówić, którzy narazie nie chcieli nawet tego, gdyż „po trzydziestu trzech latach nieskazitelnej służby rządowej”, jak mówi Borzecki, gdy tylko „dwa lata zostało do wysłużenia się i otrzymania emerytury” pragnęli spokoju, pragnęli owej emerytury. Co im po wolności, co im postaraniu się o tę złudę.

Mimo ich woli jednak, nadszedł czas, gdy zdało się, że już wszystko dobrze. Wszak konstytucja ogłoszoną została.

Wszak „Boże coś Polskę” na ulicach grają orkiestry, wszak urzędnicy carscy i policja i wojsko patrzą na to, słyszą, a jednak pozwalają.

Wszak to przecie wolność, przecie nadeszła chwila, gdy po polsku mówić, myśleć i czuć otwarcie będzie można...

Niestety! Świetlane złudzenia rozwiane były strzałami do bezbronno go tłumu na Placu Teatralnym, gdy rozentuzjanowany tłum poszedł przed ratusz (w Warszawie) by tam o wypuszczenie więźniów politycznych się domagać...

I przysnęły marzenia... Okazało się że owa „Konstytucja” była tylko szopką; że knut carki swoją konstytucję ułożył krwawymi pręgami na ciałach radośnej ludności, że carski ukaz, konstytucję odwołujący, krwawymi zgłoskami Mane Tekel Farēs znowu nad skołataną polską duszą napisał.

I zniknęły cudowne chwile mniemanej wolności, i umilkły dźwięki narodowych hymnów: ciemna niedoli noc zasnuwała znowu, rozjaśniony na chwilę, horyzont dziejów mgłą czarną, żałobną, beznadziejną.

I smutek opadł na polskie dusze, i zdawało się, że ratunku już niema...

Nadzieja jednak nie przestała świecić...

I rozpromieniła się potem w to, co teraz mamy: w wolną niepodległą Polskę.

* * *

Dyrekcja teatru polskiego świadomie zapewne wybrała ze swego repertuaru „Konstytucję” B. Górczyńskiego dla Wilna. Jest to bowiem sztuka, która stojąc w wyraźnym kontrastcie z aktualnością dnia dzisiejszego, z tem, co się dzieje w Warszawie, jasno przed oczami duszy stawia, czem dla nas jest konstytucja, tem bardziej zaś, gdy po takich ofiarach i trudach doniej dochodzimy.

W tem zestawieniu i skonstrastowaniu czasów ubiegłych, a niepowrotnych chwala Bogu, podkreślić należy zasługę teatru polskiego i p. Rychłowskiego jako dyrektora. Nietylko w tym jednak: i to ze względu na teatr będzie nawet ważniejsze: a mianowicie—w grze artystów i staranności wystawienia. Artyści byli ze sobą zgrani w najdrobniejszych szczegółach, jako całość więc nie pozostawiają nic to życzenie: Poszczególne zaś — też tylko na oklaski zasługują.

Pan Rychłowski w roli tytułowej czynownika Borzeckiego był niezrównany. Nietylko wygląd zewnętrzny, doskonała mimika i intonacja, lecz także doskonałe podkreślenie owego przeradzania się duszy stupajki w człowieka wolnego — dały skończenie doskonały obraz, co publiczność podkreśliła jaskrawo, oklaskując gorąco wykonawcę.

Pani Grabowska jako Maryla była słiczna jak w wyglądzie tak i w ujęciu roli.

Pan Godlewski jako Jerzy Węglinski był bez zarzutu.

Wogóle cały zespół był tak szarmonizowany, jak w żadnej dotąd wystawionej sztuce.

Z całą pewnością twierdzić można, że publiczność Wileńska, która niestawiła się na premierę, (prawdopodobnie z racji Wielkiego Tygodnia) zechce powetować sobie tę swą względem, „Konstytucji” opieszałość i na następnych przedstawieniach wypełni salę po brzegi.

L. Gottowt.

